

KOLEJARZE.

Powieść na tle stosunków kolejowych

napisał

ARTUR GRUSZECKI.

16

Czekała wrażenia, ale mąż nawet nie spojrzał i słuchał obojętnie. To ją rozgniewało i mówiła niezadowolona:

— Dlaczego milczysz?... Masz dosyć czasu na jedzenie.

— A czy to ja warzę? Czy pilnuję garczków? — uśmiechnął się — to twoja rzecz.

— Oj, mam ja też męża — jęknęła — opamiętaj się przecież... Jeśli weźmiemy ją na stołowniczkę, a będzie jej dobrze i smaczno, to inspektor, a za nim naczelnik powiedzą, że nam za dobrze, że żyjemy po pańsku.

— Hm... niby to tak.

— Nareszcie zrozumiałeś... Słuchaj dalej i miarkuj... Jeśli będzie jej źle u nas, poskarży się ta kochanica inspektorowi, a ten powie, że umyślnie to zrobiliśmy, bo my porządne małżeństwo, a ona byle jaka dziewczyna... no i możesz stracić obowiązek... Rozumiesz?

Portyer odłożył nóż i widelec, otworzył usta, wreszcie rzekł z uznaniem:

— Ho, ho, ty mądrze kalkulujesz.

— Bo też nie wychowałam się za piecem — powiedziała z odcieniem dumy — i wszystko rozważam dobrze.

— Toś jej odmówiła? — spytał, zabierając się do jedzenia.

— Dobry z ciebie chłop, ale rozumu ani krzty — wrzuciła lekceważąco ramionami — jakże mogłam odmówić prosto z mostu... trzeba politykować, bo nuż przeskarży...

— Cóż zrobiłaś?

— Powiedziałam, że muszę naradzić się z tobą.

— Ze mną? — zdziwił się — to siebie chcesz zasłonić, a mnie narazić?

— Ot głowa! — uśmiechnęła się — chciałam zyskać na czasie i powiedzieć tobie, że gdyby się kto spytał, dlaczego nie stołujemy, to powiedz, że u nas za biedno, że przy trojgu dzieciach nie mogę podjąć się gotowania osobnego obiadu. Czy rozumiesz?

— No tak... ale co zrobisz?

— Hm... już ja obmyśliłam... Pójdę do żony pomocnika magazyniera, do tej kokietki malowanej, one się pogodzą, bo swój swego znajdzie — zaśmiała się szyderczo.

Portyer spojrzał na zegarek i rzekł wstając od stołu:

— Na mnie już czas... a ty zrób swoje, byłem nie miał kłopotu.

— Nie pleć — upomniała dość surowo — a pamiętaj nikomu nie mów, że ona chciała u nas się stołować, chyba że ktoś spyta.

— Dobrze, dobrze — odrzekła, nałożyła czapkę z galonem i wyszedł.

Portyerowa zajrawszy do bawiących się dzieci, skierowała się do mieszkania Janiny. Zastała ją siedzącą przy stole jasno oświetlonym lampą i studującą nazwy stacji różnych.

— A, to pani — rzekła do wchodzącej — proszę, siadaj pani. Cóż uradziliście z mężem?

Portyerowa usiadła, złożyła ręce na podółku i po chwili rzekła:

— To, proszę pani kasyerki jest taki interes... Ja mam troje dzieci i męża w służbie, trzeba wszystkich opłacić, dopilnować... i chociaż radabym stołować panią, bo grosz każdemu miły, ale Bóg mi świadkiem, że czasu nie mam. Dobrze jeszcze, że mi sił starczy dla swoich — westchnęła głęboko.

— Zatem odmawiacie? — spytała głosem rozczarowania.

— Ale co znów? — przerwała żywo portyerowa — przecież to niemały honor dla nas, że pani kasyerka stołowałaby się u nas, ale nie mogę, bo czasu mi nie starczy.

— Hm... to źle — powiedziała chmurna Janina — bo w restauracji nie chce, a gdzieś za stacją bardzo niewygodnie.

— Ja tu znam jedną — mówiła portyerowa, zniżając głos — ma tylko jedną córkę pięcioletnią, możeby ona stołowała panią.

— Kto taki? Gdzie? — spytała z ożywieniem Janina.

— Żona pomocnika magazyniera, Zgierska... ta może, nawet ma służącą... jeśli pani chce, pójdę do niej, na pierwsze piętro i pogadam z nią.

— Dziękuję pani... a może wypada, ażeby sama poszła do niej.

— Ej, nie... Pani przecież kasyerka, zechce o na stołować, to już sama przyjdzie — wstała z krzesła.

Janina podała jej rękę, portyerowa chwilę się wahała, wreszcie szybko dotknęła ręki i wyszła, mówiąc na odchodem:

— Zaraz ona tu będzie, to się pani umówi o cenę.

W jakiś czas weszła do pokoju blondynka, dosyć jeszcze ładna mimo lat trzydziestu kilku, w jasnej sukni z czerwoną bluzką i poprawiając włosy fryzowane, rzekła tonem pieszczotliwym:

— Portyerka mówiła mi, że pani poszukuje o biadów...

Janina wstała z krzesła i podając rękę, wymieniła swe nazwisko, prosząc, ażeby usiadła.

— O, u paniusi bardzo ładnie — rozglądała się po pokoju — nawet kwiaty... i ja kiedyś dostawałam bukiety, ale teraz... postarzałam się, zbrzydlam, to i po kwiatkach... nikt nie pamięta o mnie.

— Ma pani przecież męża — uśmiechnęła się Janina.

— O, z męża wielka pociecha — zaśmiała się wzgardliwie — cały dzień za domem, a przyjdzie, to dawaj mu jeść. Pani szczęśliwa, bo jeszcze panna wolna, swobodna, a ja sobie świat zawiązałam przez to małżeństwo... Ach, żeby mnie pani знаła dawniej, gdy byłam panną, po prostu nie mogłam się opędić chłopcom, a dzisiaj — westchnęła.

— Ależ i teraz pani jest bardzo miła — zmusiła się Janina do banalnego komplementu.

— Co mi z tego — zrobiła lekceważący ruch ręką — czy jest tu z kim żyć, zabawić się... Wszystko to prostactwo, nie zna się na grzeczności... Ja z nikim tu nie żyję, jak na pustyni, a skoro mi portyerka powiedziała, że pani ma do mnie interes, zaraz przybiegłam, ażeby zobaczyć kogoś ze świata, z miasta.

— Właśnie chciałam panią prosić, czy nie zechciałaby mnie pani stołować — mówiła Janina z pewną powściągliwością, gdyż ta Zgierska nie podobała się jej z powodu paplaniny.

— Bardzo chętnie... ale my skromnie żyjemy... mamy małą pensję, a pani może wymagająca.

— Ależ nie... będę jadła to, co i państwo, nie jestem przyzwyczajona do wybrednego jedzenia.

— No, no, już w to ja nie uwierzę — uśmiechnęła się figlarnie — taka pani piękna, młoda, muszę za panią chłopcy szaleć... znam się na tem, bo i ja byłam młoda.

Janina namarszczyła czoło i rzekła tonem oschłym:

— Może pani zechce mi powiedzieć swe warunki. Chciałabym mieć śniadanie, obiad i kolację.

Zaczęły się targi, co dawać, ile czego, wreszcie zdecydowała się Zgierska na cenę, która Janinie wydała się zbyt niską, gdyż miała płacić dwadzieścia cztery koron na miesiąc, i spytała:

— Czy nie zamało pani liczy?

— To już mnie pani zostaw — zaśmiała się Zgierska — ja mam swój rachunek, bo to zawsze tak bywa, jak ty dobra, to i dla ciebie będą dobre... a ja kiedyś poproszę panią o kilka dobrych słów.

— Mnie? — zdziwiła się.

— Nie mówmy o tem, po co? na co? widzę, że pani nie jadła jeszcze kolacji... zaraz przysię — zerwała się z krzesła i ściskając rękę Janiny — pani pozwoli, że czasem wpadnę na chwilę, to prawdziwa przyjemność porozmawiać z osobą edukowaną.

Po jej wyjściu Janina odetchnęła swobodniej, nie zdawała sobie dokładnie sprawy, dlaczego ona jej się nie podobała, ale ogólne wrażenie było nie miłe.

Znów zaczęła przeglądać spis stacji, ażeby dokładnie pamiętać.

Młoda, uśmiechnięta służąca Jagusia, może piętnastoletnia, wniosła kolację złożoną z herbaty, chleba, masła i kawałka zimnej pieczeni, mówiąc:

— Pani bardzo przeprasza, że sama nie przyszła, ale pan wrócił ze służby.

Janina uśmiechnęła się rada, że nie przyszła Zgierska, a zapytawszy o imię usługującej, powiedziała, ażeby przyszła za kwadrans po naczynie, gdyż jest senna.

Otóż to są kłamstwa towarzyskie, pomyślała z odcieniem żalu, zamiast powiedzieć, że mnie nudzi, udaje senność. Ludzie powinni względem siebie być szczerzy, otwarci, a to wykłamywanie się

tylko ich poniża. Gdyby tak było, nie usłyszałyby dzisiaj tyle przykrych aluzji, powiedziano by jej szczerze zarzuty, ona obroniłaby się i wszystko byłoby w porządku.

Czy jednak wszystko? Czy mogłaby powiedzieć swe domysły, co do jej awansu? Czy uwierzonoby jej słowom?... Wpierw musi zapanować prawda na świecie, zniknąć obawa urażenia kogoś, narażenia się komuś, a to możliwe jest tylko wówczas, gdy człowiek jest niezależny i sam dobiera sobie towarzystwo. A ona jest bardzo zależna od wszystkich przełożonych, kolegów, od opinii ludzi.

Rozmyślanie nad sobą przypawiło ją o smutek. Poczula się osamotnioną i opuszczoną, zapewne tam w domu mówią o niej, wspominają, ale prócz nich nikt inny na świecie, niema przyjaciół, są tylko obojętni albo nieżyczliwi. A może Wapieński?... Uśmiechnęła się sceptycznie, ona dla niego jest conajwyżej nieudolną sympatyczką programu, który go w zupełności pochłania... Któż więcej prócz Wapieńskiego?... Nikt... Spojrzała na pokój swój i błyskawicznie stanęła przed nią postać inspektora Lerche, widziała oczy jego dobre, uśmiechnięte i ten ruch ręki, gdy polecił jej napisać prośbę o zapomogę. Poczula pewną wdzięczność, ale tuż wezbrała i gorycz, bo przez niego dokuczają jej przycinkami o protekcji... a to oskarżenie jej o zdradę... bądźco bądź ona musi się dowiedzieć, kto mu powiedział o pierwszym zebraniu.

Podeszła do okna. Las stał czarny, tajemniczy, lekko oświetlony zachodzącym księżycem, że tylko szczyty drzew lśniły się w słabych promieniach. A do pokoju płynęło ożywcze powietrze z łąk i lasu. Po chwili odezwał się słowik, drugi gdzieś w gęstwie mu odpowiedział i zaczął się istny koncert, przerywany zwoływaniem się przepiórek, skrzeczeniem żab, skrzekiem chruściela i nawoływaniem bąka. A słowiki śpiewały coraz namiętniej, coraz żałośniej, i z całej ziemi płynęła ku Janinie pieśń miłości, pieśń życia i rozkoszy, że się jest, żyje, czuje...

Mimowolnie szukała Janina słów na określenie tego czaru przyrody, któremu ulegała, i bezwiednie przyszyły jej na usta cudowne słowa Słowackiego ze „Szwajcaryi“: „Odkąd zniknęłaś jak sen jaki złoty, umieram z żalu, usycham z tęsknoty...”

W tem ponad całą tę pieśń harmonijną natury zahuczała syrena fabryczna i w jednej chwili znikł urok chwili. Myśli jej poszły w kierunku biedy, nędzy, krzywdy robotników, o czem czytała tak dużo, tak wymownie i dosadnie...

Wzięła w rękę broszurę: „Związki zawodowe“, chciała się zmusić do czytania, ale pomiędzy nią a treścią książki stawały nieustannie wrażenia dnia dzisiejszego. Gdy wreszcie ułożyła się do snu, zdawało się jej, że wszystkie meble pokoju ruszają się, idą do niej, otaczają ją i każdy się pyta o przyczynę, dlaczego tu je ustawiono, dlaczego przeniesiono do jej pokoju z wielkich i jasnych sal, dlaczego oddano w jej służbę... aż zmęczona nagabywaniem usnęła.

XII.

Do kasy kolejowej wszedł pierwszy o godzinie ósmej pisarz w swym wytartym ubraniu, bladawy, z twarzą pomietą i usiadłszy za stolikiem wyjął z bocznej kieszeni surduta drukowany wykaz liczb, wyciągniętych w ubiegłym roku na loteryi liczbowej. Otworzył na stronicy z nagłówkiem: Lwów, i kombinował półgłosem:

— Dwadzieścia trzy nie wyszło od trzech lat, a ośmdziesiąt sześć od dwóch... gdyby tak trzecią cyfrę dać trzydzieści dziewięć, bo pięć razy w roku była... anuż terno wyjdzie!

Oczy szare, zwykle bez blasku, zajaśniały a uśmiech szczęścia zabłysł na twarzy.

— Terno za dwie korony! — powiedział tak głośno, że strwożony obejrzał się.

— A może Wiedeń lepszy — i znów zaczął kombinować cyfry, i tak się ożywił, że wstał z krzesła i wyjrzał przez okno. Nie zauważył nawet, że do biura wszedł Jarkowski, kasyer pakunkowy, który cicho podszedł i zawołał:

— Panie Szyrec, coś tam ciekawego?

Pisarz zmieszany szybko schował książeczkę drukowaną i wyjął po chwili:

— Taki ładny dzień, to i patrzę.

— Zebrało się panu na miłość — zaśmiał się szyderczo — pewno liścik od dziewczyny schował pan tak pospiesznie... no, no, będzie weselisko.

— Ależ nie... wcale nie... panie kasyerze, to nie list — bronił się nieśmiało.

W tej chwili wszedł Ostecki, kasyer osobowy, przystojny brunet, lat dwudziestu ośmiu. Spojrzał